

**U** Andrzeja Rozhina w Teatrze Polskim (ul. Swaroczyca 8), bo mogłoby być u Ryszarda Majora we Współczesnym. Albo w Plechudzie, albo w Muzycznym. Szczecin to potęga: erytry teatru, w tym dwa dramatyczne i w każdym bardzo piękna tradycja, która narzuca wszystkim dzisiejszym działaniom stosownie wysokie progi aspiracji.

U Andrzeja Rozhina trafiłam na ostatnie dni przedurlopowe. Teatr już kończył sezon i to najdosłowniej, nazajutrz po moim wyjeździe planowano już tylko próbę, ale żadnego przedstawienia.

Dwa wieczory, jedno popołudnie. Razem trzy spektakle. Typowa wizyta recenzencka, po której formuluje się oceny, wnioski, wrażenia. Może sprawiedliwe wobec teatru, może nie. Zresztą: ktoś śmiałyby serio upominać się o sprawiedliwość w sprawach sztuki?

Pojechałam do Szczecina powodowana ciekawością zobaczenia dwu spektakli: „Dwu głów ptaka” Władysława Terleckiego, który to spektakl miał szansę być polską prapremierą w swoim czasie (przeszkodził grudzień 1981) oraz „Ulissesa” Joyce’a, który to „Ulisses” jest trzecim w ogóle podejściem polskich teatrów do tego dzieła (wliczając w to i warszawskie „Bloomusalem” w Ateneum).

„Ulisses” jest ewenementem tej rangi i tej skali trudności, że fakt, iż normalny teatr w mieście wojewódzkim, a więc z licznymi innymi niż warszawski obowiązkami (objazd, upowszechnianie, permanentna edukacja widza itp.) sięga po książkę Joyce’a musi budzić co najmniej zaciekawienie: co z tego wynika. A bardzo łatwo wyobrazić sobie, że może wywołać zdumienie, zgrozę, podziw — wszystko właściwie. Rodzaj uczuć zależy wyłącznie od stosunku do Joyce’a i zaufania do teatru. Osobiście byłam zafrapowana niecodziennością przedsięwzięcia i odwagą dyrektora (Andrzej Rozhin) tudzież reżysera (Wanda Laskowska) ryzykujących trudny w odbiorze utwór w sytuacji, w której teatr obowiązany jest właściwie kokietować widza jak tylko potrafi.

Oprócz „Ulissesa” (przedstawienie z reżu 35) i „Dwu głów ptaka” (przedstawienie następnego dnia) dane mi było zobaczyć także i starych już „Emigrantów” Mrożka (na Małej Scenie, spektakl 38 już).

Na wszystkich przedstawieniach była publiczność: na „Emigrantach” wypełniała salę po brzegi, na „Dwu głowach ptaka” prawie zapełniała widownię saly dużej, na „Ulissesie” stanowiła jej dwie trzecie, co samo w sobie jest sukcesem frekwencyjnym. Dla objaśnienia — był koniec czerwca, upały, finały Dni Morza i — teoretycznie — teatr nie musiał wygrywać konkurencji ze spacerem czy dyskoteką na powietrzu.

Na „Emigrantów” reagowano bezbłędnie, śmiech był, gdzie trzeba, zaprawiony kropelką bolesnego rozpoznania, gdzie trzeba, gorzki i gdzie trzeba, swobodny. „Dwie głowy ptaka” przyjęto w ogromnej ciszy i skupieniu, wolno domniemywać, że treści sztuki i spektaklu wywołały refleksję wcale poważną.

Z „Ulissesem” (o samych przedstawieniach będzie za chwilę szerzej, na razie to tylko obserwacje składające się na tak zwany społeczny kontekst) sprawa bardziej skomplikowana: śmiano się rozgłośnie, pilnie przysłuchiwano dialogom, ale noszę w sobie ziarenko wątpliwości, czy ten śmiech i ta uwaga dotyczyły prawdziwych problemów „Ulissesa”. Być może się mylę, ale chyba na widowni szukano głównie erotyzmu i obscenów, których tu nie ma, choć jest wiele cielesności, bo być musi. Nadruk na afiszach: spektakl tylko

W teatrach Rzeczypospolitej

# Szczecin: u Rozhina

Teresa Krzemień

dla dorosłych — zapewne zrobił swoje i wystrzył apetyty bardzo jednokierunkowo.

Wszystkie trzy przedstawienia proponują — w założeniu — teatr ambitnych poszukiwań. Poszukiwano, sądzi, porozumienia z widownią na zasadzie przypominania jej spraw na tyle uniwersalnych, by było to godne zachodu partnersko-edukacyjnego i na tyle zarazem zahaczonych o dzisiejsze Polaków dyskusje, by dawało to efekt dotrzymywania kroku współczesności. Zdrada i trzęźwa ocena szans narodu z „Dwu głów ptaka”, rola inteligenta i problem emigracji z „Emigrantów”, wreszcie pełnia życiowa jako ideał, norma, praktyka i teoria życia w ogóle, zawarta (między innymi) w „Ulissesie” Joyce’a — propozycje Rozhina dla widza. Warto wiedzieć, co towarzyszyło im w ubiegłym sezonie, czym je dopełniano.

A mianowicie: „Czapą” Krasinśkiego (pierwsza premiera ubiegłego sezonu), „Matką Courage” Brechta (którą zobaczymy w sierpniu na ekranach tv), „Miarę za miarę” Szekspira, „Wdowami” Kertesza. Z dziewięciu premier zaplanowanych odbyło się do końca czerwca sześć. pozostałe trzy — gotowe czekają września (teatry w Szczecinie idą na urlop dwumiesięczny). Będą to: bajka Makuszyńskiego („O dwóch takich co ukradli księżyc”), „Dusia, Ryba, Wal i Leta” Pam Gems oraz „Wspomnienie” (rzecz o Sarze Bernhardt).

Z poprzedniego sezonu (81/82) grano w ubiegłym roku obok sześciu nowych także i kilka „starych” przedstawień: „Upadki Bunga” Wit-

kacego, „Betleem polskie” Rydla, „Igraszki z diabłem” Drdy, „Zemstę”, „Alicję w krainie czarów” i obejrzanych przeze mnie „Emigrantów”. W języku Teatru Polskiego nazywa się to „realizujemy koncepcję stałego repertuaru” czemu raczej wypadałoby tylko przyklasnąć.

Ogółem w sezonie 82/83 Teatr Polski dał 333 przedstawienia (na założonych 300), które obejrzało 73 tysiące widzów, co stanowi około 91 procent widowni tzw. totalnej (założono, że totalna to 80 tysięcy widzów). Uzyskano 3.150 tys. złotych wpływu (101 proc.) koszty wyniosły 38.601 (98 procent).

Teatr współpracuje ze szkołami (akcja „Poznajemy teatr” oraz spektakle dla młodzieży w siedzibie i w terenie), wojskiem i stoczną, udziela się, jest, gdzie go poproszą, w zasadzie nikomu nie odmawia. W foyer organizuje się wystawy plastyczne, aranżuje się spektakle plenerowe. Ruchliwość jest niezbędna, tuż obok działa równie energiczny Ryszard Major (kierownik artystyczny Teatru Współczesnego); zdrowa konkurencja powinna być bodźcem i ostrogą dla obu stron. Czy jest? — nie mnie osądzać po jednej wizycie. Współczesny ma repertuar jeszcze bardziej ambitny i trudny, zbiera laury festiwalowe, ale w dniach mojego pobytu w Szczecinie reklamowano tam akurat rasowy melodramat („Kobieta, która zabiła”) z lat międzywojennych.

Andrzej Rozhin dyktuje Polskiemu akurat dwa sezony, jest to dla uczciwej oceny tyle co nic. Te festiwalowe, jednorazowe łatwo wydać. Ta prawdziwsza, dotycząca istoty sprawy, tego mianowicie, czy u-

gruntował się w teatrze zespół, czy teatr zaszczerpił swojemu widzowi nawyki bywalca teatralnego oraz zaproponował określony, własny styl myślenia o kulturze, społeczeństwie, życiu współczesnym — możliwa jest po paru latach. Na razie Rozhin przymierza się do Mrożkowego „Pieszko” oraz do Mickiewiczowskich „Dziadów”, które zamierza w grudniu pokazać w Sali Księcia Bogusława na Zamku Książąt Pomorskich.

Oba zamierzenia dosyć, hm, nie-małe. Jako pozycje repertuarowe mogą jedynie cieszyć. Co nie znaczy jeszcze niczego, ponadto — nie musi. Co jednak dowodnie ilustruje „normalne” ambicje teatru pozbawionego kompleksów i to teatru omnibus, nie wyprofilowanego na określone specjalizacje literacko-formalne.

Pytanie: czy warto grać „Ulisses” i „Dziady” w Szczecinie czy Lublinie, to także pytanie o prawo do kanonu kulturowego. Odpowiedź musi brzmieć — tak, chociaż za każdym razem reżyser i dyrektor podejmują taki eksperyment na własne ryzyko i często jest to ryzyko katastrofy. Rzeczą ich obu jest wiedzieć, kiedy katastrofy da się uniknąć, dysponując tym, czym się dysponuje, w ataku na repertuar co się zowie poważny, prestiżowy i mobilizujący. Bo zakładam, że mobilizujący. Widza, aktora, reżysera, opinię publiczną. Jak zakładam, że „Ulisses” w Szczecinie, po Gdańsku (prapremiera w reżyserii Hübnera w Teatrze Wybrzeże, spektakl legendarny już i precyzyjny jak maszyna) i Warszawie musiał napotkać atmosferę oczekiwania, niepewności,



Aleksander Podolak i Jerzy Polaczek w sztuce „Dwie głowy ptaka” w reżyserii Andrzeja Rozhina

nieco zaprawionej hazardem, ale też i pewnego rodzaju dumy. Nie wiem, ile tekstów napisano o „Ulissesie” szczecińskim, ale powinno ich być dużo. I to starannie przygotowujących do odbioru, bądź co bądź, wydarzenia literackiego. Jakiegokolwiek by ono okazało się na scenie. Już w zamierzeniu repertuarowym było honorem dla miasta. Właśnie dlatego, że trudne, niełatwo przyswajalne, „intelektualne” i tak dalej — jak wciąż się to powtarza bezmyślnie i często chowając się za parawan zarzutu „elitarności” i zarzutu „snobizmu”.

Od dość dawna naszym snobizmem numer jeden jest piętnowanie snobizmu na Joyce’ów, Beckettów, Ionesców, Genetów czy Sartre’ów. Niezależnie od prawdziwych wartości — niepodważalnych — ich dzieł dla kultury światowej, której rozdziały pisali, jakkolwiek by nam się to nie podobało. (Piszę „nam” obejmując tym określeniem tę część opiniotwórców, która przemawia często w imieniu „zdrowej części społeczeństwa”).

★

Wszystko, co wyżej napisałam jest po to, by mieć spokojne sumienie przy ocenie tych przedstawień, które obejrzałam. Spokojne — bo uwzględniłam tło i ograniczenia, rozumieć, doceniłam i tak dalej i to jak najbardziej serio. Głównie — doceniam repertuar, z natury eklektyczny, ale ambitny i nie szukający zbyt łatwych poklasków.

Co nie znaczy, że podbiły mnie bez reszty trzy spektakle, o których była mowa. Żaden z nich nie jest bez wad i częściej są to wady reżysera niż aktorów. W paru wypadkach aktorzy bronią się na przekór koncepcji ogólnej i ta obrona ma walor pokonywania oporu materii. Daje to efekty interesujące nawet i nowe.

Najczęściej w „Ulissesie” właśnie, wyreżyserowanym przez Wandę Łaskowską (według adaptacji Macieja Słomczyńskiego) na fresk psychologiczny. Dostępnym rodzajem zresztą potraktowany, mocno skoncentrowany na psychologii działań Molly, Stefana Dedalusa i Blooma, ale tylko tak. Nie Molly-Wszekłobiety w każdym z jej wcieleń, nie Stefana-poety, więc nieprzystosowanego i nie Blooma-obrabowanego z tożsamością i stabilnych odniesień mieszkańca (irlandzki Żyd węgierskiego pochodzenia — pamiętamy). W spektaklu są konkretni ludzie i konkretne losy, ale umowna scenografia i tok narracji narzuca, mimo wszystko, pewien stygmat syntezy wszystkimu, co się tu mówi i robi. Symultaniczność planów, owszem, jest, ale nie ma Joyce’a mistrza cytatu, ironii, persyflaży, Joyce’a wywracającego na nic cały dorobek kulturalny ludzkości i dopiero po tym pokazaniu języka światu — światłego harmonię ŻYCIA. Joyce przedrzeźniacz i arcymistrz nie ma tu nic do szukania. Jest przecież Molly i jest Bloom — Janina Bocheńska i Jacek Polaczek. Oboje wyraziści, oboje przerastający ten spektakl o całe długości, odwołujący się do innych pokładów, wrażliwości widza. Nawet tego, który przyszedł do teatru po sceny łóżkowe (bo fama robi swoje) i tylko po to. Polaczek ma jakąś determinację skazańca, Bocheńska ciepło, inteligencję, instykt kobiecości w stopniu niemal doskonałym. Jest jak wiecznie żywa roślina, która odradza się w każdych warunkach, jak niezniszczalna ślepa materia. Dla tej pary warto oglądać całego „Ulisse’a” a także i dlatego, że dopiero spektakl — taki, jaki jest — uświadamia jak niewiele czerpiemy z Joyce’a, jak bardzo go wciąż zapoznajemy. Jest jeszcze coś w tym szczecińskim „Ulissesie”: Irlandia jako stereotyp myślenia o narodzie i bardzo a propos.

„Dwie głowy ptaka” Terleckiego wyreżyserowane przez Andrzeja

Rózhina to niezwykle surowa adaptacja (według scenariusza publikowanego w „Dialogu”, bez dopisanego dla Teatru Dramatycznego przez autora epilogu) robiąca wrażenie adaptacji adaptacji. Pełna umowność, nic z rodzajowości, raczej konturowe obrysowywanie postaw niż jakiegokolwiek realistyczna tkanka. Na dobrą sprawę — publicystyka. Bardzo celna, bardzo powściągliwa, bardzo serio. Skromność tego przedstawienia ma w sobie coś z niegdysiejszych Rozhinowych spektakli studenckich (w „Gongu” lubelskim, któremu Rozhin szefował — chociażby). Tu z kolei nie ma psychologii bohaterów za grosz, ale problematyce sztuki to nie zaszkodziło. Jacek Polaczek grający Waszkowskiego ma rysy zdecydowania i charyzmę mózgowca. Spisuje zeznania dla carskich śledczych, bo wykalkulował sobie, że zamknie tym drogę do dalszych ofiar. Doszedł do tego na zimno, bez emocji. Swoim czynem zagrozić drogę dalszym ofiarom — też heroizm. Polaczek-Waszkowski wie, że jest dużego formatu człowiekiem, nie zamierza tego ukrywać.

Jeden dysonans: Oficerek nadpolicjant wykreowujący ideę Policji — Demiurga w wykonaniu Sylwestra Woronieckiego to nieporozumienie. Aktor jest zbyt salonowy, zbyt ekspresyjny, nie można brać na serio jego idei, a ta przecież — by stanowiła pokusę dla Waszkowskiego — musi być wytworem wielkiej inteligencji, produktem mózgu. Tymczasem mózgowość — powtórzę — reprezentuje tutaj bez reszty tylko Jacek Polaczek-Waszkowski. Mimo to potknięcie obsadowe, spektakl ma ton czysty, przesłania szlachetnie podane, pobudza do refleksji.

„Emigranci” szczecińscy to przede wszystkim żalność wyobcowania ze zbiorowości. Tyleż okropna dla AA pożądającego afirmacji, co XX pożądającego pieniędzy, ale przecież i zrozumienia. Bardzo nerwowy szczeciński AA i bardzo rubaszny, stereotypowy wręcz robot XX. Obaj jakoś — Aleksander Gierczak i Mieczysław Franaszek — o dziwo, ludzcy i ciepłi. Spektakl krzyczy o klęsce alienacji, o niemożności wyboru dobrej drogi poza wspólnotą. Jest realistyczny, dosłowny, prawie bez udużnień. Prawie, bo tutaj aktorzy grają przemienne AA i XX o czego skutkach, błogosławionych lub nie, nie dane mi było się przekonać, jako że widziałam jedno tylko przedstawienie. Sprawne, na przyzwoitym poziomie.

Wydaje się, że zespół Polskiego w ogóle jest sprawny. Ze stać go na sporo. Ze ma ambicje i nie ma kompleksów. Ze ma dobre chęci i zależy mu na tym, co robi. Bardzo często nie doceniamy takiej normy „zwyyczajności” w teatrze, bardzo często wybrzydźdżamy na to co określa się „przyzwoitym poziomem” za ledwie, promując głośno fajerwerki. U Andrzeja Rózhina chyba jest „normalnie”, co wyrośnie z tej spokojnej, choć odważnej zwyczajności — pokaże czas. I dopiero on zweryfikuje wartość jego teatru, który na razie dopiero się dociera.

Grudniowe „Dziady” udowodnią nam, ile się „dotarł”.

Teatr Polski w Szczecinie — „Ulisses” Macieja Słomczyńskiego według Jamesa Joyce’a. Reżyseria Wanda Łaskowska. Scenografia Barbara Jankowska. Muzyka Włodzimierz Kotoński. Układ tańców Piotr Hanl. Premiera luty 1983.

Władysław Terlecki — „Dwie głowy ptaka”. Reżyseria Andrzej Rózhin. Scenografia Ryszard Strzembala. Muzyka Andrzej Zarycki, śpiew Zbigniew Wodecki. Premiera maj 1983.

Sławomir Mrozek — „Emigranci”. Reżyseria Zbigniew Wilkoński. Scenografia Andrzej Rafał Waltenberger. Premiera czerwiec 1982.